Rozmaitości

Dnia 30. Listopada Nr 48. 1839 Roku.

WYPADKI JMCI PANA

BENEDYKTA WINNICKIEGO

W PODRÓŻY JEGO Z KRAKOWCA DO NIEŚWIERZA 1766 ROKU I POWRÓT W DÓM RODZICIELSKI.

(Dokończenie.)

Gdy nadszedł marszałek spojrzałem: *persona!*
Ej sztuka zuchwała z szwedzka podstrzyżona,
A na nim wenecka saita, pas lity
I w koło z czerkieska bramowane szyty!
Sam poszedł na księcia, gdy rozkaz dał w ganku.
»A jakże Ci piszą, mój panie kochanku?
Niech dowiém się proszę, kto łaskaw zagości?«
— Benedykt Winnicki, sługa księcej mości!—
»Winnicki?! no proszę! a znałem ja dziada!
A był to prawdziwy karmazyn! człek setny! 16)
Odstąpił mi w Łecznie turczynka nie lada!
Lecz widzę i Wasze junosza nie szpetny!
Mój panie marszałku! zalecam Waszmości,
Pan Łowczyc Winnicki niech mile nam gości,
Syn zacnéj rodziny, z daleka się trudził,
Uraczyć, pamiętać, by nam się nie nudził!
Bo prawią na Rusi nie bardzo tam mile
Coś o téj botwinie i o Radziwille!«—17)
Skłoniłem się panu, jak panu dziękując,
A w sercu się wielce z respektów radując;
Lecz kiedym się późniéj z marszałkiem pobratał,
Tom figle mądrości na piękne już płatał.
A uszło, bo człowiek był młody i pusty.
Pamiętam, w Nieświérzu przepędzić zapusty,
Zjechała tam była pani Sołtanowa,
A razem z jéj dworem panna respektowa;
Ej panna jak tarant! a tęga, osadna,
Kochana Staniecka! a ładna, bo ładna!
Bo co to za buzia! za rączka! za nóżka!
Do tego dołeczki w jagodach a mrużka!
Jak mrugła ślipkami, zginąłem z kretesem!
Lecz trudno iść było do panny obsesem,
Bo było to dziécię pieszczone i ważne,
Szły na nią klejnoty i włości posażne,
I perły kosztowne, i dziwna uroda,
Do tego we wstydzie chowana a młoda!
Więc pono z tą panną patrzano wysoko;
A przecież jam spostrzegł, żem pannie wpadł w oko,
I oczko zapruszył i serce poruszył!
Śpiéwała z partesem, jak mówią, bez »ale,«
Grywała też także na klawicymbale,
(A nie tak bezbożnie, jak dzisiaj śpiéwano.)
Ja miałem też także talenta ukryte;
Scholarum Piarum ręką formowana
Łacinę też także znałem expedyte!
I kiedy kapelan innego pominie,
Mnie zwykle z powagą witał po łacinie:
Bonum mane, frater Mariane!
Do panien tam wprawdzie łaciny nie trzeba,
Lecz rośnie ztąd zawsze u ludzi estyma,
Gdy widzą, że w szkołach nie psował człek chleba.
Do panien dość tego rozmawiać oczyma,
W taneczku przyśpiéwać, bo lubią dziéweczki,
Chociażby z klasztora, światowe piosneczki!
Więc panniem światowe piosneczki pisywał,
A czasem panicucem w taneczku przyśpiéwał,
Coś podał, posłużył, przymówił, pokłonił,
I niby nie za nią, a za nią pogonił.
I długośmy z sobą tańczyli, gadali,
Aż przecież sam na sam zastaję ja w sali;
Więc zbliżam się do niéj w strzelistym upale,
A grała, jak na to, na klawicymbale;
Więc naprzód wysyłam komplement a walny,
A za nim w też pędy i afekt kordyjalny!
Ja prawię, a panna nie wstaje z siedzenia,
I widzę, że nié ma coś do mnie zbrzydzenia,

---

16) Wyrażenie oznaczające szlachcica starożytnego rodu, przeto że kolor karmazynowy z dawna tylko szlachcie służył.

17) »*U naszego Radziwiłła*
Botwina się zarodziła —
Chleba ani kęs.«
Tak zwykli byli sobie koroniarze przedrwiwać z Litwinów. — Buraki w pewien sposób przyrządzone nazywają na Litwie botwiną. Przyprawę takową lubią Litwini, i owszem jest ona powszednią strawą ludu, z tąd żarty z Litwinów, że się w ladajakiém pokochali jadle.

Bo slucha; — więc bliżéj i żwawiéj — i w rączkę!
Ba w drugą! a w drugiéj uczułem już drżączkę,
Więc w ramię! — i widzę, że wzrok coś nie srogi,
Więc w oczko!! i w pysio!!! — skoczyła i w nogi,
A ja w pół! — Stanęła, coś trochę się zrywa,
Lecz przecie wyznała, że mi też nie krzywa...
I odtąd jam Zuzię już skrycie widywał,
I prawił na uszko, a w tańcu nie śpiéwał...
Po trzykroć wracała pani Sołtanowa,
A razem z jéj dworem panna respektowa,
A ilekroć wraca, ja znowu do Zuzi!
Bo rajskie to były słodycze w téj buzi,
I święte to było tam życie, mój Boże!
Czy człek był w podróży, czyli to na dworze.
Bo książę się także i woził bez liku!
Trzy razy był w Wilnie za mojéj bytności,
Dwa razy w Inflantach, na każdym sejmiku,
A zawsze w tę podróż zapraszał i gości.
I zwykle we wtorek rajtarja szła przodem,
Więc w środę szła stajnia nie skorym pochodem,
Więc w czwartek szedł Łowczy z sieciami i psiarnią,
Więc w piątek piwniczny i szafarz z spiżarnią,
A sam pan w sobotę z splendorem a dworem,
Gdzie ja też ciągnąłem z książęcym taborem.

Perceptę to cenić tam było z rozchodu,
Bo czy to na dworze, czy w czasie pochodu,
Jak woda płynęły rejestra odbytu!
Co dusza zapragła, a zdrowie strzymało
Wszystkiego dawano na dworze do sytu;
Nie ciekło, jak mówią, tam wszystko się lało!
Kapelija i goście i łowy, festynie,
Nim jedno przeminie, to drugie już płynie,
A dworno i szumno, że ledwie z hałasu
W kościele wypocząć miał człowiek kęs czasu.

Z bytności tam człek się nie sprawiał nikomu,
Gdyś księcia powitał i osiadł raz w domu,
Siedź sobie choć wieki, nikt się tam nie dziwił,
»Gość w dóm, Bóg w dóm« mawiał zwykle pan Radziwiłł.
I byłbym tam siedział po dziś dzień, Bóg świadek,
Gdyby mi nie licho nadniosło wypadek:
Raz czekam — w krużgankach pukněło coś korkiem;
Jak zwykle Staniecka wybiegła wieczorkiem;
Miesiączek przyświécał, siedzieliśmy sami,
Nie widzim, nie słyszym, aż książę przed nami,
I woła: »Przepraszam! niech Aśćka też siedzi!
Zapewne chcesz Aśćka jutro do spowiedzi?
Rachunek sumienia, za katy, nie chichy!
Zapewne chcesz, żeby przypomniał ci grzéchy?«

Staniecka drapnęła — lecz jam stał w kąciku.
»A jakże Ci piszą, mości spowiedniku?«
Benedykt Winnicki! — powiadam w pokorze.
»Mój panie kochanku! — a to być nie może!
A przecież Winnickich na Rusi ja znałem.«
— Bo ja się też z Rusi w te strony przebrałem. —
»A mój kochający panie i kochany!
Jakto? więc Wasze nie moim dworzanem?« —
— Do śmierci się sługą wyznaję przed panem,
Lecz jam tu od pana Cetnera przysłany,
Przy łasce książęcéj miło tu się gości,
Lecz proszę o *respons* Waszéj księcéj Mości,
Bo trzeci rok mija jak listy oddałem. —
»Mój panie kochanku! patrz jak przepomniałem;
A już to pamięcią Radziwiłł nie zgrzészy!
Lecz panie kochanku, cóż ci się tak spieszy?!
Nie kochasz mnie widzę? a ja służę braci!«
— Ha! rzekłem, jak panu: Służba wolność traci!
»Mój panie kochanku, gdyś taki służbisty,
Toć muszę zapewne odpisać na listy,
No odwiédź mnie jutro, proszę, przy śniadaniu!«
I odtąd już było po mojém kochaniu!!!
I rzewnie się w ówczas na płacz mi zebrało,
Więc na tę aprensyją przepiłem noc całą.
Nazajutrz rzekł książę: »A witam wasana!
No, prosić mi tutaj księdza kapelana!
Mój panie kochanku zawołać szatnego,
Zawołać marszałka, ba i koniuszego!«
Gdy przyszli na ucho coś prawił każdemu,
A potém ten temu, a tamten tamtemu,
I poszli; — a książę: »Gdyś taki służbisty,
Toć muszę zapewne już oddać te listy,
A pozdrów nam, proszę, tam pana Cetnera,
A niech nas zaszczyca przyjaźnią i względem,
Bo nasza życzliwość i bratnia i szczéra!
A sam też odemnie przyjmij konia z rzędem,
I sygnet ten mały — mój panie kochanku!
A przecież nas głodno nie rzucaj o ranku!
I wspomnij, gdy łaska, czasami też mile
Na Rusi o twoim bracie Radziwille,
I pozdrów tam proszę rodziców odemnie.« —
Skłoniłem się panu za afekt dziękując,
A w sercu się wielce odjazdem frasując;
Więc łzy też mi w oczach stanęły tajemnie,
I szedłem do dworzan znów zapić frasunki.
Tam oddał marszałek mi pańskie darunki:
Więc konia, więc szaty, więc *birgelt* trzyletni,
A wszystko to nowe, od podków do pletni!
Zabrałem i listy do pana mojego.
Marszałek sam wypił do mnie »strzemiennego« 18)
I dał mi pachołka — pachołek był setny,
A sygnet kosztowny, grosz także nie szpetny,
Koń, stada Sobieskich, z konopiatą grzywą,
Pas w łuskę dziergany, a kontusz z cieńciwą!
Więc kocham i ściskam i siadam i jadę;
Lecz kiedym wyjechał, nie pomógł pas lity,
Zaledwom mógł sobie od żalu dać radę,
A zwłaszcza, gdym wówczas był trochę napity,
Spłakałem się rzewnie. — Tak żal to mi było
Wszystkiego, co serce w Nieświérzu rzuciło,

---

18) Strzemienném nazywano toasty na wyjezdném picie, kiedy noga już była w strzemieniu.

A już też najbardziéj téj mojéj niebogi!
Więc smutniem się przybrał na powrót do drogi.
Gdym znowu zajechał w zapadłe Polesie,
Wspomniałem o owym to dziadzie, czy biésie,
Co drugich nawodząc, sam upadł był w jamę,
I jakoż znalazłem znów miejsce to same,
Gdziem leżąc rozmyślał i lulkę był palił,
Gdziem ogień nakładał i dziada powalił,
I w koło stał jeszcze, jak w ówczas, bór niemy,
Lecz kiedy obadwa po liściach brodziémy,
Coś brzękło pod koniem, więc spojrzę: a co to?
Pachołek zsiadł z konia i szuka, ba złoto!
Ha boskie w tém sądy! i boska to łaska!
Dziad leżał na twarzy i wysechł jak trzaska;
Na piasku, przy dziadzie, trzos leżał ze złotem,
Zdobyłem więc złoto i z małym kłopotem
Poszyłem się dobrze wracając do domu.
Więc z dobrą fantazyją, nie mówiąc nikomu,
Jechałem w świat daléj.—
Pod jesień się miało i żółkły już bory,
Więc na noc zjeżdżałem za zwyczaj na dwory,
A radzi mi byli, bom wracał z Nieświérza.
Więc codzień gościna poczciwa i świéża,
Też codzień znajomość, i codzień świat inny.
Tak w końcum się przybił ku stronie rodzinnéj.
A w Gródku siadywał starosta Potocki,
Więc jego nadworny marszałek pan Złocki,
Mój krewny, przedstawił mnie panu swojemu,
I rad był mi z duszy, jak zwykle krewnemu.
Musiałem o Litwie i księciu im prawić,
I kilkaśmy nocy strawili bezsennie;
Musiałem tam dłużéj tygodnia zabawić,
Bo winem mi chłopca spajali codziennie.
Aż w końcum się wyrwał—a wiécie gdzie Gródek?
Więc z Gródka onego już blizko do Rudek,
A z Rudek na prawo gościniec prowadzi
Do wioski Kanachwost—gdzie imię wieczyste
Jest Sasów Winnickich, i gniazdo ojczyste,
O którém Bóg radzi, jak o swéj czeladzi...
Gdym tedy już ujrzał i sady i błonie,
I dworek rodzinny, i w łące te konie,
Zawrzało mi w sercu i lecę jak ślepy,
Wtém spojrzę, aż ojciec powraca od rzepy;
Poznałem go oraz, więc zwracam w lot koniem,
Pomijam figurę, nuż przez rów i błoniem
Naprzeciw, a ojciec zawołał od roli,
Poznawszy mnie także: »Powoli! powoli!
Mosanie, otawa! kto jeździ przez błonia?
A nazad! figura!! zdjąć czapkę i z konia!!!«
U ojców bywała reguła surowa,
Więc gdy mnie konfuzyja spotkała takowa,
Wróciłem i czekam pod krzyżem z pokorą;
A ojciec powiada nadchodząc: »Więc! ale!
A z kąd to tam Waszmość ćwiczenia te biorą
Tak koniem na ojca najeżdżać zuchwale?
Ba także przed krzyżem nie schylić już głowy,
To, widzę, po dworach obyczaj dziś nowy.«
I zmierzył mnie, konia i chłopca surowo,
I począł potrząsać i ręką i głową:
»Ba, ba, ba! Mosanie! co widzę? a co to?
Pachołek? koń w rzędzie? bławaty i złoto?
Nie czemu to buczno, bo widzę, butnczno!
I w drodze tak strojno?—O niech mi Waść wierzy,
Jam nie miał do ślubu poczciwszéj odzieży.
Toś zhardział mi, widzę, po dworach mój synku?
Dał pan, da i ojciec swoje w upominku:
Jeszcześ mi nie wyrósł z pod władzy ojcowskiéj,
Mam jeszcze ów samy *Monitor* boćkowski, 19)
Więc wąsy, chociażby z za ucha wygolę,
A orznę, jak ojciec, i skarcę swawolę!
I starą ja Waści przypowieść wyłożę:
»»Dobrze temu na dworze,
Komu doma pług orze
Co ojciec usktadał, to synek uporał.«
A Wasze, czyś dużo już złota wyorał?
Nieboszczyk dziad mawiał: »»Poczciwie w kąciku,
W dreliszku rybeńko, a według staniku!««
»A Wasze?!«—i nagle tu uciął już mowę,
I sierdząc się czapkę zacisnął na głowę,
A kiedym mu do nóg chciał upaść już w ganku,
»Za późno«—mi rzecze—»za późno kochanku!
Idź Wasze do matki!«—A matka nuż witać
Z radością synalka, nuż gościć, nuż pytać,
Nuż chwalić fantazyją, obyczaj i stroje:
»A dziécię kochane, a miłe, a moje!
A jakie to dworne, a mężne, a grzeczne,
A jakie to strojne! a jakie stateczne!«—
Poczciwe matczysko spłakało się rzewnie,
I ja się spłakałem na takie witanie;
Lecz serce mi jakoś gadało niepewnie,
Bo insze o synku jegomość miał zdanie.
Przy matce bawiła podówczas panienka:
Milutkie stworzenie, wysmukła i cienka,
Anusia Terlecka—więc także mnie wita;
A kiedy odbiegła, więc matka zapyta:
»Czy nié ma już więcéj pokłonić się komu?
Wszak jam was rodziła tu, przed tym obrazem,
A Bóg cię szczęśliwie powrócił do domu!«
Więc we łzach, w modlitwie uklękliśmy razem,
Za powrót w dóm ojców Bogu podziękować,
A potém relikwijarz zdejmując ze ściany
Podała mi matka, by go ucałować,
A potém dobyłem dukat poświęcany,
Przed laty mi dany w intencyi najszczérszéj,
Gdym z domu rodziców wyjeżdżał raz piérwszy.

---

19) Do batoga nie potrzeba u nas jeszcze podobno objaśnienia, ale boćkowskie bizuny, niegdyś sławne, mniéj dziś są znane. Gdy je zaaplikowano do młodzieży szkolnéj po konwiktach, nazywano je także »Monitorami« politycznie.

A potém po takiém witaniu serdeczném,
Poczałem rzecz swoję dyskursem statecznym:
Gdziem bywał, com widział po świecie, com robił,
I czegom się uczył i w com się sposobił,
I jakie gdzie dwory, i jakie gdzie kraje,
I jacy panowie, i jakie zwyczaje.
A kiedym tak jedno po drugiém powiadał,
Przynieśli wieczerzę. — Jegomość nie jadał
Wieczerzy, lecz obok pacierze odmawiał;
A kiedym ja matce o sobie rozprawiał,
Drzwi tylko na chwilę odchylił czasami
I mruknął spojrzawszy i skręcił wąsami.
Źle będzie myślałem — w tém dano wieczerzę;
Zgadałem się setnie, więc wziąłem się szczérze,
A dali, pamiętam jak gdyby dziś, grzybki,
Mądrzyki wyborne, konfekcik i rybki.
A matka nam była tak trochę coś chora,
I chciała dyjetę zachować z wieczora,
I tylko się do nas na dyskurs przysiadła.
Lecz panna Terlecka coś także nie jadła.
A zatém sam jeden sprzątnąłem wieczerzę,
Oddałem dobranoc i idę z alkiérza;
A w sieni pan ojciec za rękę mię bierze
I mówi: »Jest jeszcze dla Waści wieczerza!
I mam też ja jeszcze pomówić coś z tobą.«
I wciągnął do izby i zamknął za sobą.
»Zdéjm Wasze mi kontusz i żupan, szat szkoda!
Grzbietu nie! bo twardy, lecz rychło się poda!
Nauczę ja *mores!* Mosanie? Więc, ale!
Tak koniem na ojca najeżdżać zuchwale?
Przed Bogiem i ojcem nie schylić już głowy?
I w drogę się przybrać w strój drogi i nowy?
Za późna pokora! stój mi tu, jak kołek!
Czy nie wiész to Wasze, żeś chudy pachołek? —
Ba także i świętą wigiliję naruszyć?
To matce jest wolno, bo w wieku i chora,
Lecz Wasze chłop zdrowy, to możesz i suszyć!
Wigilija! Hultaju! Wigilija! pokora!«
— A jaka wigilija? — spytałem niepewny.
»No proszę!? a jutro Matki Boskiéj siewnéj!
Kto kocha Maryją, pamięta wigiliją!
A *(ut sum sodalis)* za Maryją biją!!« —
Więc wyjął z kantorka żmiję *monitora*
I wziął mnie za rękę i puścił mnie w kolej:
»Religija, hultaju! Wigilija! pokora!
A drelich! a oléj! a drelich! a oléj!
A święte to ręce ojcowskie co biją,
Znaj rękę ojcowską! a szanuj Maryją! —
Ja listy sam prześlę panu Wojewodzie,
A Waść do komórki o chlebie i wodzie,
Dość téj tam już służby i tego dworactwa,
A Waściów pachołek (nie ciérpię próżniactwa)
Więc z barwą książęcą téj chwili na kołek,
A świtem i boso do brony pachołek!
I orznął mnie, sfukał i zamknął w komorze,
Lecz słówkam nie pisnął, milczałem w pokorze;
Nie wolno też było instancyi wnosić,
Więc matka płakała i nie śmiała prosić.
Siedziałem zamknięty, jak w *turmie* za zbrodnie,
O chlebie i wodzie przez cztéry tygodnie.
Aż w końcu i srogość złamała pokora,
Bo nadniósł Bóg księdza proboszcza z wieczora.
»Gdzie synal Wasceciów mój panie Tomaszu?«
Zapytał ksiądz proboszcz — »a pokaż go przecie!
Od dworskich starosty w Gródku na kiermaszu
Słyszałem ja o nim, że bywał po świecie,
Mówili, że łebski ma szlachcic być z niego!«
Więc ojciec tak trochę rad niby był z tego,
I kazał dać wina starego z kącika,
A że się to działo *hora canonica,*
Do tego, że afekt połączał ich wielki,
Więc pono wypili ze cztéry butelki.
In vino veritas. Więc ksiądz się rozczulił,
I ojca jak brata do serca przytulił,
Więc zwykła surowość i ojca odpadła,
A matka się do nich z panienką przysiadła,
I słówko po słówku, powoli, powoli,
Od zwykłych dyskursów do tego, co boli.
De misericordia divina, ksiądz prawił,
Jak pan Bóg z lwiéj paszczy Daniela wybawił,
Kierując do rzeczy *more* oratora;
A kiedy upatrzył, że właśnie już pora,
Więc rzecze: »Ej bracie! krew twoja nie woda!
Ta przebacz synowi! bo matki nam szkoda,
I pozwól niech nam się na chwilę pokaże;
Gdy ludzie go chwalą, niech rodzic nie karze!
Wszak jam go chrzcił przecie, jak sami to znacie;
Ot, młodość więc płochość! przebacz panie bracie!«
A matka też także słóweczko wtrąciła:
Więc pozwól Jegomość, by złożył ukłony,
Ukłony samego pana Radziwiłła,
A ma też i sygnet kosztownie sadzony,
Co książę go kazał doręczyć Waszeci.«
— »Dość téj tam już prośby« — rzekł ojciec łaskawie,
»Wszakżem ja nie Herod i kocham swe dzieci;
Bez prośby mu miałem przebaczyć dziś prawie;
Więc jéjmość powiadasz, więc, ale! tak... tego...
Że książę się kłania, i dary przysyła?
Tak... tego... więc kłania? (pogroza nic złego!)
Więc sygnet ma oddać? i od Radziwiłła?
Niech przyjdzie! to przyjmę do łaski do mojéj;
Lecz niech mi się przecie poczciwie przystroi.«
Dóm moich rodziców był dworek drewniany,
Więc wszystko do joty słyszałem przez ściany.
»W czém chyba na wstępie, to trzeba poprawić,
I jakbyś dziś przybył, przed ojcem się stawić.«
Tak matka radziła. — Więc strojnie i zbrojnie
Wjechałem z pachołkiem przez bramę spokojnie,
A ojciec był w ganku — stanąłem na stronie,
Pachołek pod lipą zatrzymał też konie,

Jam jał się za szablę, i czapkem zdjął z głowy,
I jakby w Nieświérzu w dziedziniec zamkowy
Z takową fantazyją sunąłem w te progi,
I naprzód ścisnąłem rodzica za nogi,
A potém upadłem i do nóg macierzy,
A kiedy rad ojciec oczyma mnie mierzy,
Łacińską perorą, skłoniwszy w kolana,
Witałem na wstępie i księdza plebana.
A potém do panny Terleckiéj statecznie,
Jak dworski kawaler, zwróciłem się grzecznie,
I rzekłem subtelnych słów kilka nieśmiało,
Jak w obec rodziców na syna przystało.
A potém już sygnet podałem ojcowi,
I rzekłem poważnie: Wojewoda książę,
Którego braterski afekt zawsze wiąże
Z braterstwem, a z szlachtą zawsze zgodne chęci,
Poleca swe służby panu rodzicowi,
I kazał się wiernie przypomnieć pamięci!—
Spojrzawszy na sygnet, sam ojciec się zdziwił,
I nalał kielichy: »Niech żyje Radziwiłł!!!
Poczciwe panisko!—pamiętam przed laty
Na walnym.... ba sejmie... no, nie pytaj daty!
Rzuciwszy niebogę, ubóstwo i rolę
I ja też ruszyłem z rycerstwem pod Wolę.

Jak zwykle Radziwiłł rej Litwie tam wodził,
Więc Litwa też za nim—gdy ku nam podchodził.
Niech żyje Radziwiłł! zawołał ktoś w kole,
A jemu poczciwość świéciła na czole.
Ja stałem na kraju, więc wziął mnie za szyję,
I cisnął do serca: Bracia niechaj żyje!
A kochasz? — zapyta — kochasz Radziwiłła?
O kocham! — i szczérze tuliłem co siła:
A książę zawołał: Korona niech żyje!
A gdy się kochają bracia, to się stroją,
A dajcież mi wina, niech zdrowie wypiję!
I dał mi swą czapkę, a wdział czapkę moją.

Ksiądz podał mi kielich, lecz ja pić nie śmiałem,
A ojciec mi rzecze: pij Waść sercem całém!
I matka też na to nie zechce się skrzywić;
Zdrowie Radziwiłła, nie będziem certować!
No! konie do stajni! pachołka pożywić!
A teraz ci wolno rękę ucałować,
I sprawić się ojcu z téj swojéj podróży;
Zobaczem w coś urósł, boś widzę chłop duży.«
Prawiłem więc zwolna, a wszystko z kolei,
Krom onych miłostek i onych nadziei,
A kiedym już przyszedł na dziada powtóre,
Więc chwilę na ustęp, a potém trzos biorę,
I kładę z pokorą rodzicom pod nogi,
I rzekłem do ojca: Rodzicu mój drogi!
O przebacz, jeżeli niewinnie zgrzészyłem,
Żem zabił człowieka, i złoto zdobyłem,
A rozkaż przez łaskę, co robić z tém złotem?
Czy dać na prowizyją? czy wziąć gdzie dzierzawę?
»Nie cieszę się złotem, boś go nie zlał potem,«
Rzekł ojciec— »nie cieszy to złoto, bo krwawe!
Prowizyja? dzierzawy? a co ci się dzieje?
To oddaj na kościół, bo cudze nie grzeje!
I ojca grosz jeszcze kapany i krwawy
Wyciągnie za sobą. — A dobrze, że mamy
Tu księdza proboszcza, więc grosz ten oddamy,
A niechaj przez łaskę odprawi wotywę
Za twoje po świecie podróże szczęśliwe,
A potém osobno daj na mszę żałobną
Za dziada, co w puszczy od ręki légł twojéj,
A który przed sądem już bożym dziś stoi...«

* * *

Kazałem więc nlać złotą rękę z nożem,
Co mnie nie dosięgła za przejrzeniem bożém,
Jak wotum złożyłem ją w farnym kościele,
I dzisiaj to jeszcze, kiedy ją zobaczę,
Ogarnie me serce jakoweś wesele,
I nie raz w modlitwie i z cicha zapłaczę,
Bo w ówczas wspominam szczęśliwy wiek młody,
I Nieświérz i księcia i dwór wojewody,
I ojca i matkę i podróż i dziada,
I dziwnie to wszystko do skruchy się składa;
Więc nie raz się w piersi z osobna uderzę,
I zmówię za duszę dziadowską pacierze.

ooo

POBYT
PRZEZ JEDEN DZIEŃ NA WYSPIE ZEA.

Serce mężczyzn jest niestalsze niż najniestalszy żywioł morza.—Mówiąc między nami, ja temu sam niewierzę, ale chcę tylko morzu powiedzieć pochlébstwo; bo kiedym już mniemał, że mnie w podróży z Syry do Pireju na wieki wieków pochłonie, ono mię przez łaskę swoję wyrzuciło na wyspę Zea, chlubiącą się miejscem urodzenia Symonidesa, mowcy Prodyka i lékarza Krasistrata. A lubo na téj bujnéj i żyznéj wyspie nie znalazłem już takiego trójliścia, jednakże cieszyło mnie to niezmiernie, że mnie inni mężowie, chociaż mniéj sławni, wyrazami: »*Kalos Orisate!*« serdecznie powitali. Jestto wyspiarzy zwyczaj, który wywiéra dobroczynne skutki na cudzoziemca, jeźli ma rozum i nie wgląda, ażali to przyjęcie jest rzeczywistą gościnnością lub tylko czczém wyrażeniem grzeczności.

Port wyspy téj leżący na przeciw przylądku Kolonos, jest tak obszérny, że największe okręty przyjmować może; brzegi jego zapełnione dziesięcią lub dwunastą

domkami, nie przedstawiają spaniałego widoku; wszelako pośród ich małej liczby, znaleźliśmy dwie gospody, a w jednéj z nich i bilard nawet. Przepych ten nie zdziwił mnie, bo od dawna wiedziałem, że Grecy grę lubią. — Zabawiwszy czas niejaki na dolném wybrzeżu, udaliśmy się w górę do miasta, oddalonego prawie na jednę godzinę od portu, którego liczne domy, na spadzistości góry prawie jak muchy ściany osiadły. Aby się dostać do celu, musieliśmy przebyć mnóstwo pagórków zamienionych w najpiękniejsze tarasy, wydające najsmaczniejsze owoce; atoli cel ten nie przewyższył oczekiwania, jakiegośmy się po téj bujno zarosłéj drodze spodziéwali. — Życzenia ludzkie są częstokroć tak dziwaczne, iżby wielki był kłopot, gdyby je czasem komu spełniło przeznaczenie; myśl, którąby wprzódy ani mi przez głowę nie była przeszła, wyrzekłem tu przed memi towarzyszami podróży z największą szczérością: »Chciałbym,« rzekłem do nich, »chciałbym teraz być śklarzem.« To życzenie musiało powstać we mnie, gdym ujrzał najmniéj tysiąc domów, których wszystkie okna, zamiast szyb, zalepione były białym papiérem. Jestto prawdziwie smutny widok! Każdy dóm miałem za magiczną latarnię, za którą widziałem po szybach papiérowych, w podłużnéj postaci snujące się cienie mieszkańców. Moi towarzysze podróży śmieli się ze mnie. »Wolałbyś,« rzekli do mnie, »być papiérnikiem, wszak widzisz, że sklarz na wyspie Zea umarłby z głodu, chociaż na niéj dziesięć tysięcy dusz żyje.«

Przybycie nasze wywabiło wielu ciekawych z tych latarni, rzadko bowiem cudzoziemcy zawijają na wyspę Zea, któréj mieszkańcy prowadzą wprawdzie handel, ale tylko z Hydryotami. — Cieszyło mnie, że między ciekawymi postrzegłem kilku starców; znakiem, że Zeotowie, lubo nie przez światło swych okien, to przecież przez światło rozumu, przyszli już do tego poznania, iż starcy ich, nie zadawają sobie dobrowolnéj śmierci, i nie zapraszają, jak to czynili w dawnych wiekach, na ten festyn, swych przyjaciół i krewnych, dla spełnienia kielicha trucizny w ich obliczu. Dziwny obyczaj ten, przyczynił się niegdy do sławy téj wyspy. — Wstąpiliśmy do oberzy, i zastaliśmy w niéj, chociaż dopiéro była dziesiąta przed południem, wszystkie ławki przez grających zajęte. Walety i damy latały po stole i zabijały się za pieniądze, i nie jeden pozwalał drugiemu zaglądać w karty za pieniądze; *Coeur* było kozérą, a wielu zrzekło się téj kozéry za pieniądze, i nie jeden, chociaż karta nie dopisała, uśmiéchał się za pieniądze. Gospodarz, który nie był graczem, a jednak czynił wszystko za pieniądze, przyniósł nam wina za pieniądze, piliśmy więc u samego źródła sławne wino téj wyspy — za pieniądze.

Niebawem rozlał się szlachetny sok winogron po naszych żyłach i zaczął z oczu naszych sypać iskry, a z ust dowcipu płomienie. Moi towarzysze podróży podochocili sobie i śpiéwali pieśń starożytną, która od czasu, jak nastało wino i kochanie, jest pociechą dla serca.

W tém jeden stary Zeota, rzuciwszy z rąk karty, zbliżył się do naszego stołu; jasne łzy płynęły mu po licu. Nalał sobie szklankę wina, przytknął do naszych szklanek, i zaczął śpiéwać wraz z nami. A powód postępowania tego, które nas wprawiło w niemałe zadziwienie, był następujący: Człowiek ten nie był Greczyn, ale Niemiec, nasz ziomek, zakochał się niegdyś w pięknéj dziéwczynie, umarła mu, pochował ją, i poszedł światami. Jakże namiętnie, z jakiém odmłodzeniem, z jaką siłą i ogniem, jak gdyby to wczoraj było, rozpowiadał nam o swéj dawnéj młodéj miłości, która się z nim nie zestarzała, a toast najpiękniejszy ze wszystkich: »Niech żyją i umarli!« obudził w nim słodkie wspomnienia, i skłonił go do wychylenia jeszcze kilku kielichów; poczém zatopiony w słodkich marzeniach przeszłości, ujęty snem łagodnym, zamrzał spokojnie, i ocknąwszy się, już nas nie zastał.

My zwidziliśmy tymczasem nieschludne miasto, które więcéj nierogatego bydła niźli kamieni w sobie mieści. Spólność dóbr, między témi źwiérzętami i ludźmi, zdaje się być niezaprzeczoną; bowiem w domach tych zgodliwych Zeotów, gdzie chléwy od izb nie są oddzielone, widzieliśmy dzieci i prosięta, poufale z sobą koziołki przewracające.

Nawet oprócz tych nieschludnych źwierząt ma wyspa Zea wielkie podobieństwo, tak co się tyczy położenia, jak całej swej istoty, do starożytnego miasta Syry; na wierzchołkach jéj znajdują się podobnież wiatraki, a ziemia jéj, jest równie sławną, gdyż na tém samém miejscu, gdzie teraz stoi Zea, wznosiło się niegdy sławne miasto Jnlis, mające liczne świątynie. Powietrze na téj wyspie zda się być bardzo zdrowe, ponieważ nigdzie w Grecyi nie zdarzyło mi się widzieć tylu podeszłych mężczyzn, jak na téj wyspie. Wielka liczba kobiét starych, nie dziwiła mię, bo kwiat młodości niewieściej w żadnym kraju nie jest tak nikłym, jak pod tém niebem greckiém. Dziéwczęta, które w szesnastym rokn miały piękną, delikatną płeć Sylfidy, jako zamężne, już w roku dwudziestym, przez zgrubiałą, pargaminową skórę ciał swoich, w mumije się zmieniły, i ta sama istota, którąśmy przed kilku laty ubóstwiali, obudza w nas niedługim czasem wstręt i odrazę.

Szczęściem, że kobiéta grecka, aczby i piękną była, nie ma w sobie nic przyjemnego, a ponieważ same tylko gracyje są nieustannie młodemi, dlatego podeszłe Greczynki nie roszczą sobie prawa być przyjemnémi matkami. Jakoż przymilać się matce w Grecyi, dla pozyskania ręki córki, należy bezprzecznie do największych ofiar miłości.

Tacyto są mężczyźni, oni przebaczą chętnie kwitnącej róży, choćby ich boleśnie swym kolcem zraniła, ale uwiędłej, przenigdy!

Niedługo bawiąc, opuściliśmy wyspę Zeę, a żaden z nas nie wykręcił sobie karku dla zobaczenia jeszcze raz jéj stołecznego miasta; nie dla tego, iż się obawiał, aby nie był w słup soli zamienionym, ale jedynie z tego powodu, że go już miał od jednego razu zadosyć!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 47. i obejmuje: 1) Doświadczenia i uwagi pana Vitzthum względem istnienia trzech gatunków pszczół w jednym pniu, jako to: matki, pszczoły roboczéj, i truta. (Dokończenie.) Pszczoły robocze czyli matki trutów. 2) O wzroście i kształceniu się wełny, mianowicie owiec merynosów, — tudzież co przy chodowaniu tychże zachować potrzeba. 3) O czyszczeniu wódki. 4) Spirytus przeciw mulom. 5) Sposób przeciw skwaśnieniu piwa.

Wyciąg z listu p. Kuźmaniego, pisanego z Bani-Bystrzycy, w Węgrzech, dnia 8go października: »Przed pół-trzecia miesięcy odwidził mnie pan Cybulski z Poznania, wracający z podróży po Serbii, Chorwacyi i Slawonii do Berlina, gdzie pewnie już w tamtejszéj wszechnicy daje odczyty różnych sławiańskich narzeczy, dla poznania których podróżował. Dałem mu niektóre rzadkie książki, dotyczące się zadunajskich Sławian.—Pod *Kralową-holą* zeszedłem się przypadkiem z profesorem Zeuschnerem z Krakowa, który już od lat dziesięciu zajmuje się rozpoznaniem Tatrów i śledzeniem ich własności tak od polskiéj, jakoteż od węgierskiéj strony. Był on i tego roku u nas w Bystrzycy i pisze *Monografią* po polsku, którą jednakże dla większego odbytu myśli wydać z tablicami po francuzku lub po niemiecku. — P. Stanko Wraz wydał tom pierwszy *Narodowych pieśni iliryjskich*, za które należy się wdzięczność zbieraczowi, a piękność czcionek, papieru i gładkość odbicia czyni prawdziwy zaszczyt gorliwemu wydawcy, panu Gajowi w Zagrabiu. — Posyłam *Kalendarz na rok* 1840 odbity w Bani-Bystrzycy dla Sławian tutejszych. Mile zapewne czytać w nim będziecie *Krakowiaki sławiańskie* i przekład na czesko-słowackie, tak bardzo do polskiego zbliżone narzecze, dwóch bajek waszego Krasickiego. A.

Z Warszawy. Były kapitan Kalixt Pawłowski wydał: *Zbior myśli wierszem.* — Druk dzieła J. Bełzy: *Zasady technologii chemiczno-gospodarskiéj*, ukończony będzie z początkiem roku przyszłego. — Zapowiedziano na styczeń rok 1840 tom drugi *Pamiętnika sceny warszawskiéj.* — Pan Strączyński, wydawca małego o zwierzętach ssących pisemka, zamyśla wydać obszerne dzieło o tym przedmiocie, ze szczególniejszą na kraj polski uwagą.

Nowe lekarskie dzieło. Nieraz słyszymy skargi, iż najuczeńsi ludzie, którzy przy stoliku pracą umysłową są zajęci, za wcześnie schodzą z tego świata. Wszystkim tym zalecamy następujące dzieło: »*Physiologie et Hygiène des hommes livrés aux travanx de l'esprit*, *par le docteur Réveillé — Paris.* Gruntowne lekarskie dzieło to przyjęto we Francyi z największémi pochwałami. Dotycze się ono licznéj klasy ukształconéj i czytającéj publiczności, jako to: urzędników, autorów, artystów i profesorów. Uważać je można za światłego poradnika względem obrania środków, jakiemi bez nadwerężenia urzędowéj powinności, zdrowie swoje od uszkodzenia zachować można. Dzieło to pełne rozumu, prawdy i powagi jest przytém bardzo zajmujące.

Dla poetów. Akademija umiejętności w Chambery wyznaczyła na rok 1840 medal wartujący 1400 franków w nagrodę za najlepszy poemat, który przedstawi postępy industryi i powszechnéj przemysłowości w Sabaudyi. Poeta opiéwać ma nowe gościńce, oświetlanie gazem w Chambery, wystawienie mostów i połączenie Sabaudyi z krajami zagranicznémi za pomocą statków parowych i kolei żelaznych. Atoli poemat ten przynajmniéj z dwóch-set wierszy składać się powinien.

Oléj drzewa sandałowego. Dla przywrócenia przyjemnego zapachu w szpitalach i innych gmachach, w których powietrze jest zepsute, zaleca pewien Anglik, polać na rozpalone żelazo kilka kropli oleju z sandałowego drzewa, który natychmiast przyjemny balsamiczny zapach wydaje.

Ryby i rośliny w gorących źródłach żyjące. Niejaki pan Sonnerat donosi w dzienniku *Miror:* Na wyspie Luçon o sześć mil od Katambru, odkryłem źródło, którego woda tak była gorąca, że w niej palca utrzymać nie było można. Przy tak wielkiéj temperaturze sądziłem, iż w tém źródle żadna roślinność rozkrzewić się nie może. Ale jakże nie byłem zdziwiony, postrzegłszy nietylko na brzegu, ale nawet w wodzie całe krzaki roślin, których korzenie ukropem oblane, w gorącym piasku tkwiły, i bujno się rozrastając, najpiękniejszą zieloność miały, chociaż gęsta para bez ustanku liście ich otaczała. Przytém para ta była tak zabijająca, iż drobne ptaki, przelatując po nad nią na wysokość sześć stóp a nawet i wyżéj, nieżywe na ziemię padały. Z tego powodu wyobrazić sobie można moje zdziwienie, gdy zbliżywszy się nad krawędź tego prawie wrzącego źródła, postrzegłem w niém żywe, chyżo pływające rybki, które tak żartko się zwijały, iż którą z nich złowić niepodobna było. Wszystkie te rybki miały brunatną łuskę i cztéry do pięciu cali długości. Od czasu tego osobliwszego odkrycia znalazłem podobne doniesienie w entomologii, wydanéj przez pp. Kirby and Spence. Rzeczą najdziwniejszą, o któréj lord Bute donosi, jest to, iż w wrzących źródłach *(puduan)* nietylko rośliny rosną, ale i mnóstwo czarnych chrząszczów w nich żyje, które złowiwszy i w zimną wodę włożywszy, natychmiast giną.

Mosiężna dratwa. P. Sellier w Paryżu otrzymał przywiléj swobody na wynalazek używania mosiężnéj dratwy w przyszywaniu przyszwy do podeszwy przy trzewikach i botach. Metalowa ta dratwa nie przepuszcza w bót ani wilgoci, ani pyłu, i nie urywa się. Można nią tak łatwo szyć jak woskowaną szewską dratwą, nawet boty tym sposobem szyte, nie są bynajmniej droższe. Pewna osoba chodziła już w takich botach przez ośmnaście miesięcy, i zużyła dwie pary mocnych podeszew, a dratwa zawsze całkowitą została.

Tańce hiszpańskie. *Fandango* jestto taniec ognisty, którego się charakter od tańców innych narodów zupełnie różni. Nie zależy on bowiem na pięknem poruszeniu nogami, ale na chyżém, malowném, lekkiém wygięciu całéj budowy ciała, na wyrazistéj mimice, i najpowabniejszych obrazach. Panującą w nim ideą jest miłość aż do namiętności rozgorzała. Tancerz z tanecznicą idą w zawody; raz poważnym i wymierzonym suną krokiem, raz znowu jakby od wichru chwyceni, ognistym pędem zbliżają się ku sobie, i znowu oddalają zwolna w takcie najrozkoszniejszej melodyi, któréj towarzyszy łoskot grzechotek. Często z takiém uniesieniem rzuci się jedno ku drugiemu, iż się zdaje, że dziewczyna niezawodnie w ramiona swego tancerza padnie, aż oto za jednym szybkim zwrotem jakby na przekor i udręczenie, znowu od niego w oddaleniu staje. Zaprzeczyć nie można, iż taniec ten jest nader rozkoszny i rozwięzły, a nawet gorszący; i z tegoto powodu w pierwiastkowym swym kształcie u wyższych klas bynajmniéj nie jest w używaniu; jednakże znieść go zupełnie i wywieść z używania, jak już nieraz usiłowano, nigdy się nie powiodło. W téj mierze jest następująca anegdota: Pewnego razu chciano zakazać *fandango* jako taniec niemoralny, i obyczaje psujący. Gdy oto jeden z sędziów, będący może sam gorliwym zwolennikiem tańczenia, odezwał się w te słowa: »Byłobyto zaiste zbyt surową rzeczą znosić ten ulubiony taniec narodowy, nie przekonawszy się wprzód na własne oczy, ażali do tego powód jest dostateczny.« Rozsądny ten wniosek podobał się jego kolegom; sprowadzono tedy natychmiast dwoje młodych ludzi, i rozkazano im, aby w obecności zgromadzonych sędziów taniec *fandango* wykonali Wielka cisza panowała pomiędzy surowymi sędziami, w których piersi już po największéj części wszelkie uczucie rozkoszy życia obumarło. Lecz skoro strony gitary coraz żywiéj dźwięczéć, a kastaniety coraz głośniéj grzegotać zaczęły; skoro tancerze coraz bardziéj się rozogniajac, na twarzy swojéj płonącą rozkosz tańcu objawili; wtedy rozgrzała się także i ostygła krew w żyłach starych widzów; mimowolnie zaczęły się poruszać w takcie ich ręce i nogi, a z ostatnim gorącym akordem rozległ się okrzyk uniesienia po całéj sądowéj sali. — Tym sposobem taniec *fandango* został ocalony. — Z pomiędzy innych tańców hiszpańskich, taniec *Kachucha* co do rozkosznych ruchów ciała, zbliża się najbardziéj do *fandango*, chociaż bynajmniej tak jak ten rozwiązłym nie jest, i u klas wyższych bywa używany. *Kachuchę* tańczy po największéj części tylko jedna dziewczyna, albo jeźli już jest więcéj tańcujących, wtedy wszyscy stają rzędem naprzeciw widzów, i każdy z nich robi te same kroki i poruszenia, ale rozumie się, iż grzechotek przy tém używać nie zaniedbuje. Najpoważniejszym tańcem hiszpańskim jest *bolero;* jestto pewien rodzaj kontradansu. Lecz przezto wyobrażać sobie nie należy, aby on do poważnego menueta był podobny; i owszem w tym tańcu wyraża się ognisty, rozkoszny charakter narodowych tańców hiszpańskich, chociaż nie w tak mocnych zarysach.

Wiadomość dla młodych ludzi. W kantonie Walii wyszła ustawa, podług któréj żadnemu młodemu człowiekowi przed dwudziestą piącią laty nawet choćby był ożenionym, fajki palić nie wolno; gdyż się pokazało, iż wielu dla tego tylko brało żonę, aby im fajkę palić było wolno.

Walka atletów. W Lipsku znajdują się obecnie Dupuis i Averino, którzy się jak wiadomo, pierwszymi zapaśnikami mianują. Okoliczność ta stała się powodem do następującego wyzwania, które umieszczono w »gazecie Lipskiéj«. »Ponieważ pan Averino przysłał do mnie swego woźnicę, by się zmierzył z memi siłami, zdziwiło mnie to nie mało, dla czego pan Averino, który przecież w Niemczech uchodzić chce za pierwszego atletę, a w Berlinie i Wrocławiu nawet to nazwisko sobie przywłaszczał, dla czego mówię pan Averino sam się ze mną zmierzyć nie przyszedł. Wyzywam przeto pana Averina i jego woźnicę, aby bez wszelkich prawideł, i na jakikolwiek sposób sobie życzą, obadwaj w wieczór, w którym się im podobać będzie, poszli ze mną na siły; a jeżeli nade mną zwycięztwo odniosą, otrzymają w nagrodę 500 talarów, które wprzódy za rękę dać przyrzekam; oni zaś z swojéj strony, żadnej straty nie poniosą. Dla ustalenia sławy mojéj, upraszam najuniżeniéj, aby szanowna publiczność sama rozstrzygnęła łaskawie, który z nas obudwóch nazwiska pierwszego atlety jest godniejszym. Przytém upraszam także pana Averina, aby w następnem obwieszczeniu swojém, zawiadomił mnie o dniu, w którym się ze mną zmierzyć zamyśla.« Jean Dupuis, pierwszy atleta i zapaśnik. — (Wiadomości późniejsze) Pewien korespondent, o walce atletów Averina z Dupui'm, którą dnia 18go października w Lipsku z sobą zwiedli, donosi, co następuje: »Obadwaj zapaśnicy wystąpili w obcisłym skórzanym ubiorze. Najprzód chodziło o doświadczenie siły w dłoni, czego skutkiem były potężne policzki, które jeden drugiemu na wzajem w upominek dawał. Averino nie skrzywił bynajmniéj twarzy. Dupuis zaś, choć zawsze wołał: *bravo! da capo!* przymrużał często oczy, dostrzeżono nawet, iż się mu łzy po licach potoczyły. Potém z kolei przyszło do pięstuków. Dupuis ugodził kilkakrotnie swego przeciwnika tak potężnie pięstukiem, iż Averino na krok odskoczył, lecz potém tak silnie uderzył w kark swojego spółzawodnika, iż tenże tylko zwrotnym koziołkiem upadek swój zamaskować potrafił. Teraz nastąpiła koléj pójścia w zapasy. Przystąpili śmiało do siebie i mocowali się z bezprzykładną siłą przez minut kilka, jeden drugiego z miejsca nie ruszywszy. Nakoniec Dupuis skręcił Averynowi ręce ku ziemi, a zwycięztwo już na jego stronę przechylać się zdawało. Wtém nagle odskoczyli od siebie i gdy jeden drugiemu w mgnieniu oka wyciął kilka policzków, rzekł Dupuis: »Basta! Jesteśmy obadwaj wielcy artyści. —»Dosyć na ten raz!« odrzekł Averino i ukłonił się. Bohatérowie podali sobie dłonie i ucałowali się. Publiczność okryła ich oklaskami. Znaczna kwota wpłynęła wprawdzie do kasy, którą się zapaśnicy podzielili, ale téż krwawo na nią zapracowali.

Sprostowanie. W przeszł. Nr. 48. Rozmait. na str. 375, w przedziałce 1széj, wiersz. 8m od dołu, zamiast: sextanty i kwadranty, czytaj: bez sextantów i kwadrantów.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*